Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 25. POZNAŃ, DNIA 19. CZERWCA. **1843.**

Kilka myśli we względzie rozwijania się dziejów i życia społecznego Polaków.

Czas jąć się do krytyki dziejów i całéj przeszłości naszéj; dotąd gromadziliśmy tylko materyały, ale aby z odłamków szkieletu mieć o życiu pojęcie, żeby z mumii, którąśmy ze zmurszałéj trumny odéwiekowali, pojąć w ustroju i sile rozkwitujące ciało, na którego twarzy goreje płomień duchowego żywota, żeby z odartéj czaszki, poznać dziewiczym rumieńcem zapłonione oblicze, trzeba czegoś więcéj, jak gromadzenia szkieletów; trzeba się na nie okiem ducha spojrzyć, a oko ducha pojmuje naprzód krytycznie, potém filozoficznie, i daje nam trupa ujrzyć w pełni życia.

Krytyki więc, krytyki! na miłość życia i nauki, krytyki wołamy w dziejach, bo inaczéj naród nie zrozumie swéj własnéj przeszłości, a jéj dzieje zimniejsze od głazu i od lodu, nie zmiękczą, nie zapłonią się ciepłem życia, choć je lud do wrzącego serca przyciśnie, jeśli bez krytyki, bez pojęcia filozoficznego pozostaną, i będą, jak dotąd, tylko lichą zszywaniną, często najniezręczniéj dobranych kompilacyj. Przejmijmy w pojęciach przeszłości Polaków i Polski krytykę przedewszystkiem, bo krytyka przetor wyrobi dla stanowiska filozoficznego, bo krytyka zorzą życia dziejów w pamięci i więcéj jak w pamięci, bo w sercu ludu, w sercu dzielnością, postępem i miłością wrzącém.

Pragnienie krytyki w dziejach jest naszego czasu potrzebą i żądaniem. Wprawdzie nietylko w dziejach potrzebna i upragniona nam krytyka, ale w dziejach najmniéj jéj mamy, najczęściéj nam jéj potrzeba. Niepodobna w kilku słowach, które spisać chcemy, określić istoty krytyki przeszłości i dziejów polskich; rzucając o niéj kilka myśli, chcemy na dalszy postęp społeczny, z pojmowania postępowego dziejów mogący się wysnuć, zwrócić uwagę; ztąd myśli nasze oderwane i w mniéj logicznym związku i następstwie wprost jako odrębne rzutu, co do istoty swéj tylko jednorodne, podajemy.

Dotąd (z małym kilku nowych zupełnie badań wyjątkiem) mieliśmy dzieje królów polskich; spisy i opisy bitew, pokojów zawartych i t. p.; w badaniu społecznego stanu Polski mieliśmy surowo nagromadzone fakta, często o kroju sukien, o postaci sprzętów i t. p.; o dziejach ludu, o społeczném życiu, ledwieśmy zasłyszeli. Kronikarze pisali o królach, tylko w tém się niezmiarkowali, że przyjdzie czas, kiedy im ślepo przestaniemy wierzyć, i dowiemy się i przekonamy, że królów w Polsce nie było. Bylić tam pierwsi z rycerstwa, którym nadawano nazwę króla, ale nie byli to królowie tacy, jak we Francyi, Anglii, Niemczech; lepsza na nich nazwa, któraby pojęć nie mięszała, byłaby *wojewodowie*, t. j. wodzowie wojska, czyli raczéj wodzowie rycerstwa. Zjednego pojęcia władzy królów w Polsce, wysnuwa się zupełnie nowy pogląd na dzieje; wiara w kroniki upada, konieczność krytyki wychodzi na jaw. Już w kronikach nie *dziejów* szukać nam należy, ale *faktów*, które zaszły, i może tak zaszły, jak je kronikarze opisują, ale to pewna już *a priori*, że ich związek był zupełnie inny niż ten, który podają kronikarze, bo oni na węzeł przyczyny i skutku przez szkiełko łacińskiéj pseudo-oświaty patrzyli i wszystko w pokrzywionym stósunku widzieli, lub chcieli wi-

dzieć. Weźmy np. bajeczkę o świętym Stanisławie, jak ona pięknie, z faktu zupełnie przeciwnego urosła. Weźmy znowu bajeczkę o śmierci Przemysława; kronikarze niechcieli powiedzieć, że naród go zabił, zmyślili sobie więc, że padł pod ciosami Pomorzan; to bardzo wygodnie tak prawdę zasłaniać, aby nieobrazić majestatu królewskości, który księża i wszyscy, którzy łacińską oświatę przyjęli, chcieli zrobić gwałtem podobną do królewskości we Francyi, lub Anglii. To tylko szczęście, że nasi kronikarze byli za prostoduszni, aby nieprawdę z umysłu lub z niewiadomości powiedzianą, wystawić dobru za prawdę; przeczytajmy np. o Przemysławie w Długoszu, a poznamy najdowodniéj ze słów kronikarza, że to go naród zabił; chyba, że niechcemy tego spostrzedz. Pojęcie tu królewskości, wyjaśnia wielce stanowisko szlachty w narodzie. Szlachta, czyli rycerstwo, jako kasta wojownicza panowała i była uważana za naród, i bardzo naturalnie, bo kto ma miecz, może biednemu chłopu dać pracować dla siebie, i jeśliby pracy kmiotek odmówił, zabić go; jest to prawo zwierzęce mocniejszego. Przecież Bogu dzięki, że tylko szlachta ciemiężąca lud, była zwierzęcą u nas. Lud był zawsze cnotliwym, wielkim, szlachetnym, czuł pognębienie swoje, i dla tego tylko uznawał szlachtę, że musiał. Pierwotnie nie było i nie mogło być szlachty, przynajmniéj dziedzicznéj, bo niepodobna przypuścić, aby naród mógł być tak ślepym, iżby znosił szlachtę, ten wrzód społeczeństwa, w czasach, kiedy przemoc tylko fizyczna ma przewagę, a umysł nie zamyka się w kaście, lecz równo w całym rozwinięty narodzie; w takim stanie lud oczywiście mocniejszy, bo znaczniejszy liczbą od tych wszystkich, coby go uciemiężyć chcieli. Mżonką więc to tylko pychy herbownéj kronikarzy i pisarzy herbarzów, którzy chcą w nas wmówić, że Słowianie przed chrześciaństwa przyjęciem wiedzieli coś o szlachcie. Szlachta mogła dopiero w czasach późniejszych powstać, w czasach, kiedy na massę słowiańszczyzny Niemcy i inni zachodu mieszkańcy cisnąć się poczęli, a z nimi i oświata kościoła łacińskiego, którą wprost łacińską nazywać będziemy, jęła podcinać posągi bogów słowiańskich. Stan ówczesny społeczności słowiańskich niebył i być nie mógł innym, jak czysto republikańskim organizmem społeczeństwa, które jednak patryarchalność zatrzymało, z dawniéjszéj może teokratycznéj postaci socyalnéj. O szlachcie, o rycerstwie nikt tam nie wiedział, ani wiedzieć nie mógł; każdy zdolny do obrony, stawał w czasie wojny pod wodzem obieranym na wiecach; po skończonéj wojnie wódz i męże bojowi szli uprawiać ziemię, któréj od napaści obcych bronili.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ostatnia wiosna Pokucianki.

(Dalszy ciąg.)

VI.

W górach tylko młodzież zdrowa,
Dziewki jak lilija!

Pieśń góralska.

Kto widział Tatry, a widok ich nie obudził w nim prawdziwie świętych uczuć dla matki przyrody, ten nie ma duszy. Żelisław i Amelija stali jak zaczarowani, patrząc na te święte miejsca, na te świątynie natury, na te śliczne lane Tatry, a ich dusze utonęły w modłach.

„Witam was Tatry, ojczyzny naszéj strażnico!“ zawołała z uniesieniem Amelija, a jéj twarz przybrała świetność anioła pokoju; „któreż piersi są w stanie skréślić uniesienie, gdy wasz czarowny powitają świat? Tylko uczuć można swobodę i życie, gdy na waszych odwiecznych szczytach oko utonie w dali, a ten wieczny maj naszych jodeł szumi uroczystą pieśń, wydobywającą się z łona waszego.“

Zajęci najswobodniejszemi myślami, weszli w parów, postępując za powozami, napotkawszy kilka hożych wieśniaków i wieśniaczek, którzy ich powitali: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ powracając z chrustem na plecach do swoich chat.

„O jaki to szczęśliwy stan wieśniaków!“ ozwał się Żelisław; „chociaż pracuje dzień cały w pocie czoła na kawałek chleba, może go jednak podzielić z swoją towarzyszką życia, odpocząć na jéj łonie, ubawić się w gronie dziatek, odpocząć przy żonie lu-

béj, która go prawdziwie kocha, tą miłością czystą, gdzie się nie wkradło zepsucie świata. O Amelijo! czemu my nie jesteśmy swobodnemi jak oni? czemu w nasze piersi wlało bóstwo inne uczucia, prócz patryarchalnego przywiązania do rodzinnéj zagrody? Czemu my w gorszém świetle musimy widzieć ten zepsuty świat, te wykrzywione czynności samolubów, tyle zbrodni?“

Nareszcie zdążyli nasi podróżni do wsi Miejscowa zwanéj, gdzie obrali sobie mieszkanie przez ich pobyt w Tatrách. Amelija znowu zdawała się zdrowszą, weselszą przez cały tydzień. Może, aby nie powiększać cierpienia ojca i Żelisława, aby nie zachmurzyć bardziéj czoła kochanka, aby nie pogrążyć go w rozpaczy.

Pewnego dnia, była to właśnie niedziela, a nasi podróżni na przechadzce używając świeżego powietrza, zbliżyli się ku karczmie téj wioski. Wieśniacy, kobiety i dzieci oblegli przybytek wesela po tygodniowéj pracy i gwarzyli.

„Patrząc na takie zgromadzenia wieśniaków koło kościoła, lub karczmy,“ ozwał się Żelisław, „zaraz mi staje na myśli rzeź humańska, siła narodu, skoro się ocknie z snu i uczuje w sobie zniweczenie praw przyrodzenia.“

Stary hrabia postąpił bliżéj ku nim i powitał ich przyzwoicie, a kilku starców, siedzących za stołem, wystawionym na podwórzu, powstawszy, prosili, aby raczył usiąść na chwilę. Hrabia kazał wynieść dla wszystkich piwa i wdał się w rozmowę. Jeden z nich, widać bywalec w świecie, właśnie opowiadał coś pilnie go słuchającym, a skoro hrabia i nasi kochankowie zajęli miejsca obok wieśniaków, ozwał się powtórnie: „Z przeproszeniem pańskiém i was zacni gospodarze, zacznę od początku, to i nasi goście może zechcą posłuchać?“

„„I owszem, proszę, mówcie daléj,““ dodał hrabia.

„Już to połowica wieku, jak mi mój osiemdziesiętnioletni ojciec opowiadał, że wieś Miejscowa nazywała się pierwéj Połatą. Boże świeć nad jego duszą, dobry to był ojciec, opowiadał mi on nieraz, jakto zapamiętał różnéj biedy na świecie, był w niewoli tatarskiéj i moskiewskiéj, ale, aby prowadzić daléj naszą gawędę, wracam do Miejscowy. Za czasów naszego króla Zygmunta, gdzie teraz Miejscowa i inne pograniczne wioski, był tylko las na jakie dziesięć mil wzdłuż ku węgierskiéj granicy. Za tego to króla Zygmunta, nie pomnę którego, bo to człowiek nie piśmienny, pozwolono było każdemu pracowitemu człeku wykorczować kawałek lasu i wystawić sobie chatę i założyć gospodarstwo bez wszelkiego odrabiania pańszczyzny, bez wszelkich darmochów i danin. Tak powstała między innemi wieś Połata; ale przez wielkie ulewy w naszych Karpatach, wezbrała raz Wisłoka i zniszczyła całą osadę. Przenieśli się zatém nasi ojcowie na drugi brzeg rzéki, założyli nową wieś i nazwali ją Miejscowa, od słów: „tu myiscowa bude.“ Zawsze tu byli Rusini, a teraz już zmieszali się z Mazurami, bo to jedna i ta sama krew płynie w nas wszystkich, ot jednym tylko cerkiewnym obrządkiem różnimy się, ale wszyscy wierzymy w jednego polskiego Boga. Po kilku latach dobrze już zabudowaną wieś Miejscowe, wraz z innemi nowopowstałemi, darował król Zygmunt swojemu podskarbiemu Ulińskiemu. Był to zły panisko. Babiasty delikat od stołu królewskiego, z malućkiego panka, chciał się od razu na pana wydrapać możnego. Przyjechał do Miejscowy i wybudował w niéj drewniany zamek, zaczął wczasu używać, a na biednych chłopków coraz większą pańszczyznę i daniny nakładać. Ledwie że nie skórę zdzierał z swoich poddanych, ażeby za to mógł trzymać sobie w domu gładkie dziewki, sprowadzać kosztowne malwazye, kanary słodkie, piwa białe częstochowskie i czarne gdańskie, i biesiadować z krzywdy poddanych z podobnymi sobie towarzyszami. Był wtenczas zwyczaj, bo jeszcze to w tych latach nie było tylu piśmiennych jak teraz, że który umiał czytać po rusku, taki najstarszy i najuczciwszy z gromady poszedł do Przemyśla, zapłacił czerwony złoty Władyce, a on namazał go na ojca gromady, na popa. Miała na ten czas Miejscowa świętéj pamięci Wysłockiego za popa. Uczciwy starzec jak mógł opierał się uciskowi, bywał często w Przemyślu i procesował się w imieniu gromady, ale gdzież tam mógł kiedy biedny człowiek znaleść prawo na pana. Zastrzelił człowieka jak psa i zapłacił kilka grzywien, a człowieka biednego nie stało, a reszta musiała milczeć, aby nie dostać od pana podskarbiego batogów. Wysłocki miał syna, hulakę i zawadyję. Nauczył się był czytać i siedział przy ojcu, bo wiedział, że jak stary nogi zadrze, toć kto inny nie zostanie popem, tylko on, a były wtenczas takie plebanie dziedziczne z ojca na syna i nawet na córkę, jeśli tylko wydała się za popa. Ten syn Wysłockiego podjudzał gromadę, aby się nie dała batogować od pana, co im wlazł na państwo, jak czort na biedną duszę. Pójdę ja, rzekł raz przy kieliszku kontuszówki, na Węgry, i sprowadzę zbójców na tego naszego panka,

zabiją go i będziemy znowu wolni. Zgodzili się wszyscy, boć się téż im biedy dość za uszy nalało. Poszedł na Węgry, i nie minęły dwie niedziele, powrócił z bandą i napadł w nocy na zamek; ale jak na szczęście podskarbiego Ulińskiego nie było go w domu, boby był pewnie wisiał na własnym belku. Zrabowali tylko co było i uprowadzili kilka gładkich dziewek. Z rana powrócił podskarbi, i zastał tylko gołe ściany. Jedna tylko z jego dziewek schroniła się była w sadzie, i za powrotem pana swojego doniosła mu, że zbójcami dowodził młody Wysłocki. Podskarbi zebrał w sąsiedztwie dworskich służebnych Kozaków i napadł na plebanią, aby ułowić herszta; ale młody Wysłocki nie w ciemię bity, schronił się do cerkwi; a trza wiedzieć, że natenczas nie wolno było choćby i zabójcę gwałtem pojmać, skoro się tylko schronił do cerkwi, kościoła, albo na cmentarz. Podskarbi obtoczył cerkiew, aby głodem go zmusić do wyjścia, ale on, jak mógł, żywił się knyszami, które przypadkiem zostały w cerkwi, i pił święconą wodę. Tak minął tydzień; stary ojciec zaczął pocierpiać o jedynaka, i udał się do dziekana o poradę. Dziekan, także nieprzyjaciel Ulińskiego, doradził mu, ażeby sprosił więcéj popów, dla odbycia się niby mającéj uroczystości, a syn niech się przebierze w szaty jednego z popów, co mu pomoże ujść z cerkwi. Porada dziekana została wykonaną, a młody Wysłocki uszedł na Węgry. Niemogąc podskarbi swojego dopiąć, sprzedał włości księciu Lubomirskiemu, a było ich przeszło dwadzieścia, z obawy nowéj zemsty. Książe Lubomirski był na ten czas w wielkiém znaczeniu u króla, podobno kanclerzem, czy hetmanem, i mieszkał w Rzeszowie. Nowe się zaczęło uciemiężenie, a prawie gorsze. Człowiek musiał po sześć dni na tydzień odrabiać, jak sam książe chciał, a jeszcze ich wyganiano aż do Rzeszowa na robotę. A to nie lada opuścić żonę, dzieci i gospodarstwo i tam ślęczeć gorzéj bydlęcia nocy pod gołém niebem. Do tego jeszcze kazał zwołać najstarszych z gromady do Rzeszowa, i podpisać w imieniu wszystkich znakiem krzyża świętego, że przyjmują pańszczyznę, a gdy niechcieli jednogłośnie tego uczynić, osadzono ich w lochach zamku rzeszowskiego, a byłyć ci tam lochy okropne, aż do Łancuta ciągnące się pod ziemią. Pomiędzy uwięzionymi był czcigodny gospodarz, imieniem Sardyga. Ten uprosił u księcia, aby im pozwolił wrócić do domu, że się będą wszelkiémi siłami starać, aby nakłonić chłopków do posłuszeństwa. Jakoś w tym roku był walny sejm w Krakowie, na którym debatowano, ażeby jakoś poskromić uciemiężenia panów dla ich włościan, ograniczyć nadużycia. Na tym to walnym sejmie książe Lubomirski podniósł pierwszy głos, aby ustanowione było prawo: głowa za głowę. Gdy powrócili deputowani z Miejscowy nazad do domu, już ci i jeden nie wyszedł na pańszczyznę. Książe zesłał swojego pełnomocnika z rozkazem, aby każden, który się sprzeciwia w odrabianiu pańszczyzny, ukaranym został srodze. Trafiło najpierwéj to naszego Sardygę, który skonał pod kijami. Widząc to nasi, że z Sardygi trup, nuże na plenipotenta księcia. Związali panicza jak barana, i nuże z nim na ławę, krzycząc: baty za baty! życie za życie! głowa za głowę! zobaczymy, czy on wytrzyma. Ale jakoś wyprosił się ów plenipotent u gromady, pokazując na piśmie pełnomocnictwo księcia pana, prosząc litości, że tylko jak sługa spełniał jego rozkazy. Puścili gacha do czorta, a odebrali papier pełnomocnictwa i poszli do Przemyśla pisać suplikę. Gdy się książe o tém dowiedział, nie było mu to do smaku, posłał tego samego gacha do Miejscowy, aby w imieniu jego całéj wsi darował pańszczyznę, i co tylko chcą, na to zezwolił, aby mu tylko papier z jego podpisem oddano, boć się nie chciał zarekomendować takim przykładem królowi. Widząc gromada, że już nic Sardygę nie wskrzesi, a z księciem, Bóg wie kiedy i czy dojdą sprawiedliwości, kazali tylko sobie dać na pergaminie, że tylko dwanaście dni do roku odrabiać będą, i tak zaniechali pieniactwa. Długo było tu dobrze, aż przeszła Miejscowa w ręce hrabiego Siemieńskiego. Reskrypt gdzieś z latami zaginął, a gospodarze na nowo czuli okropne uciemiężenia. Jeszcze się to jakoś cierpiało, aż tu znowu nowa plaga na nasz kraj zaczęła zachodzić; trza było zapomnieć o uciemiężeniu, a wziąść się do kosy i bronić ojczyznę. Niemcy w dziurawych pantoflach zaczęli się zwłóczyć do kraju naszego z psami, jak szarańcza. Nie można było tego psiarstwa wydusić. Dobre to przysłowie: psia mać nie zaginie! a u nas się jak pluskwy zaczęła mnożyć. Króla my to niby jeszcze wtenczas mieli w Polsce, ale pożal się Boże, gorzéj Judasza ze słomy, którym w wielki tydzień chłopcy wybijają okna w kramnicach żydowskich, tłuką garnki, biją go kijem, aż go nakoniec w gnojówce utopią, boć robili z nim, co chcieli. Do tego znów z drugiéj strony niezgody panów do reszty zniszczyły naród i ojczyznę. Terazci wprawdzie poznają błędy, aleć mało takich; jeszcze dużo kąkolu, któryby trza wyplewić. Ale do rzeczy wracam. Jakoś i między naszymi chłopkami zaczęli się synowie przykładać do książek i teraz mamy i pomiędzy nami piśmiennych. Tak téż Bóg dał, żeśmy

doszli znowu naszego starego prawa. Hrabia Siemieński bowiem, jak naszą ojczyznę rozszarpali, myśląc, że Niemcy nie długo będą u nas gościć, obawiając się większych podatków, oświadczył nowemu rządowi, jakoby my tylko dwanaście dni do roku robili pańszczyzny, chociaż mu się odrabiało, jak sam chciał, bo człowiek nie byłby poszedł wtenczas do wroga skarżyć się na swojego rodaka. Doszliśmy z czasem tego i musiał nam nowy teraz dziedzic przyznać, a da Bóg, że i to kiedyś ustanie, bo nasi ojcowie dość się napracowali, aby ich prawnuki mieli własny kawałek ziemi. Teraz też i więcéj nas panowie uznają za ludzi, i widzą, że tylko razem w zgodzie, jak przystoi ludziom, których Bóg wszystkich na swoje podobieństwo stworzył i przenajświętszą krwią na krzyżu zbawił, można kraj oczyścić z tego plugastwa i okropnéj sromoty."

Hrabia uścisnął za rękę starego gadułę, dodając: „„My to już może tego nie doczekamy, ale nasze dzieci; daj Boże! daj Boże!""

„I najświętsza panna Marya, królowa Polski!" ozwał się pierwszy. „Mamy teraz i dobrych panów dostatkiem," mówił znowu daléj, „a za dobrym panem poszlibyśmy i do piekła się bić. Lżéj od swojego trochę ucierpieć, jak od tych płudratych żydów, na których karkach nasi przodkowie jeździli."" Wziął za kufel piwa, mówiąc: „„Na cześć naszego Kościuszki! boć to był prawdziwy bohatér, i opiekun nas chłopków.""

Żelisław czując się w swojém świecie, uścisnął serdecznie starca, dodając: „„Wszyscyśmy dzieci jednéj matki, Polski!""

(*Dokończenie nastąpi.*)

Twórczość w żywocie społeczności.

(*Dokończenie.*)

V.

Rzekł mu Jezus: jeśli chcesz być doskonałym, idź, przedaj co jeno masz, i daj ubogim.
Ewang. Math. XIX., 21.

Miłość ku całéj ludzkości w czynie, jest bezwzględną spólnością; mamy obecnie téj rozwijanie, (*jak się rozwija*) i bliższe pojęcie wskazać; tu, z już wysnutych wniosków założyliśmy, zachodzi zniesienie indywidualnéj własności. Wszystkie więc, jakiego bądź rodzaju mienie, jest własnością całego ludu, czyli własnością bezwzględnie spólną. Ztąd naturalnie odziedziczeń żadnych po osobie szczegółowéj być nie może, każdy ma używalność spólnéj własności ludu, a pracę swoję, wszystką pracę całego życia, poświęca na korzyść ogólną. Oznaczenie ilości i jakości téj pracy, oraz granic używalności, stanowi całą i jedyną w zastósowaniu trudność. Nie jest ona jednak bynajmniéj niepodobną, a nawet nie jest zbyt trudną do usunięcia; mała rozwaga przedmiotu łatwo nas przekona. Spólność, naprzód, w ten sposób pojęta, iż każdy pracuje i w miarę pracy ma używalność, nie niszczy bynajmniéj osobistego interessu, bo ilość i dobroć (jakość) wykonanéj pracy, daje miarę używalności. Obieranie rodzaju pracy nie przedstawia żadnéj niepraktyczności; gdyby w gminach indywidua tylko najlżejszych chwytały się prac, przeto albo niedostatek do cięższych by je zwrócił, albo uchwała ogólna, pod kolejnym dozorem, dla dobroci wykonywania pracy, oznaczyłaby dla całéj gminy kolejną pracę, w sposób podobny podanemu przez Fouriera, którego assocyacye w ogólności, jako umiejętne wydoskonalenie pracy, miałyby zastósowanie z zastrzeżeniem, że kapitaliści, jako nieistniejący w społeczeństwie bezwzględném, nie mieliby całkiém udziału w assocyacyi. (*) Jeśli przeto produkcya ogólna, dobrowolném rozdziałem pracy, potrzebą albo uchwałą, raz dla każdego według jego zdolności i woli wydzieloną zostanie, używalność owoców téj produkcyi, bez trudności rozdzielaną być może, według praw naturalnych i przysądzenia przez obieralnych biegłych. Prawa naturalne są to w tym razie miernice (*skale*) wartości pracy, które to miernice oznacza praktyka; jaką wartość ma np. uprawienie danéj przestrzeni roli, poświęcenie pewnéj ilości godzin nauczaniu publicznemu, to praktyka najłatwiéj oznaczy; biegli zaś przez samych pracujących, (jak *Jury* przez mających być sądzonymi) o jakości, np. dziesięciodniowéj pracy, wyrokowaliby. W podobném urządzeniu niktby nie miał potrzeby pracować więcéj nad połowę dnia, bo i pracaby umiejętnie się wykształciła i ilość pracujących przyby-

---

(*) Przypominamy, iż Fourier opiera głównie swój układ społeczny na assocyacyi, czyli stowarzyszeniu. W gminach, na pracę przeznaczonych, występują do produkcyi trzy żywioły. *Kapitał* (dany przez bogatych, bo Fourier nie zakłada spólności własności), *praca* i *talent;* owoc pracy używa każdy z trzech żywiołów według zasługi. Tu pomysłem ważnym jest połączenie pracy, inne strony pomysłu dalekie są od bezwzględności.

łaby przez ubytek wszystkich dziś żywiących się cudzą pracą i mających ogromne dochody. Resztę dnia, t. j. drugą połowę, cały ród ludzki mógłby poświęcić umysłowéj pracy, wykształceniu się, życiu rodzinnemu, rozrywce i t. d. Ktoby pół dnia pracował, miałby dostatek, a przytém po półdniowéj zmysłowéj pracy, silniejszym byłby do umysłowéj i byłby zdrowszym. Ktoby pracował nie osobno, lecz w assocyacyi, pod kolejnym jednego z członków gminy całéj dozorem, takżeby miał tylko pół dnia pracy; a pracowałby dobrze, produkcyjnie, i odpowiednią miałby używalność spólnéj całego ludu własności. Utrzymywanie nie mogących pracować (starych, chorych, dzieci) odbywałoby się na koszt powszechny. Owoż cała pozorna niepraktyczność spólności bezwzględnéj zniesiona. Rozwińmyż niektóre szczegóły pojęcia spólności.

Spólność, jako źródło wolności, nie czyni żadnego przymusu nikomu bąć; „każdy umieszczony będzie podług swéj zdolności, a wynagrodzony w miarę swéj pracy;" prawo święte, raz wprowadzone, przy pracy wszystkich; bo wolność ma za podsadę, by nikt nie próżnował, przy wydoskonaleniu pracy, zapewniają każdemu dostatek, a przeto do najmilszego życia wszelkie zapewnia potrzeby; względem życia osobowego nie można innych nad dowolność stanowić prawideł. Jak w pracy dozwolono każdemu, albo osobno pracować i swą pracę przez wybieralnych przez się biegłych dać ocenić, albo spólnie z całą gminą, pod kolejnym dozorem, razem ponosić pracę; tak w życiu, każdy ze spólnych składów przedmiotów, potrzeby i wygody życia obierając sobie sprzęty, suknie, książki i t. p., używać je może w osobnym domu, który według woli sam, albo z innymi zajmie, albo mieszkając w spólnym gmachu gminy, może sam przez podejmujących się na taką pracę, lub przez siebie, lub przez rodzinę swoją, sporządzić sobie jedzenie i inne potrzeby, lub wybrać jedzenie ze spólnéj kuchni, w któréj co zechce obstalować może, lub może przy stole spólnym jeść. Podobnie każdy może czynić z oczyszczaniem, lub sporządzaniem sprzętów, sukni i t. p. (jeśliby kogo niezadowolały sprzęty gotowe w składzie spólnym, może je dać do wykonania i t. p.) Jeśliby do posług podobnych zabrakło ochotników. np. do gotowania po domach osobnych, do posług tamże i t. d., może podobne zatrudnienia przez pół dnia, (*pewna ilość na dzień*) cała gmina kolejno sprawować; ocenienie takiéj dla osób szczegółowych pracy, (niekolejnéj, bo kolejna pod zwykłą podpada kategoryą) według właściwéj miernicy (*skali*) uczynione, dawałoby prawo do odpowiedniéj ilości używalności. System wyborów, lub kolejności, w urzędowaniach potrzebnych, mógłby być wprowadzonym. Ludzie zawodowi, jednak np. lekarze, nauczyciele, *nigdy*, chyba w razach nadzwyczajnych chorób, lub małéj liczby zawodowi temu, np. nauczycielskiemu, poświęcających się ludzi, od produkcyjnéj pracy nie byliby wolnymi, chociażby tę pracę nie tak wielką mieli, jak inni, np. tylko ćwierć dnia i t. p. Rzeczpospolita, na spólności w ten sposób oparta, wolność, swobodę, dostatek dla każdego miałaby zapewnione, a praca wszystkich, ta potrzeba każdego człowieka, potrzeba konieczna nawet we względzie szczęścia i zdrowia, daleka od bycia ciężarem, byłaby rozkoszą każdego i pomocą do kształcenia się umysłowego, do pracy umysłowéj. Wolność, niezależność od nikogo, słowem, społeczne szczęście każdego, byłoby owocem podobnego urządzenia. A jednak wszyscy, którym się nie chce mieniem dzielić z biednymi, którym się nie chce pracować, ogłaszają *spólność* za utopiją, za mżonkę chorego szaleńców umysłu! Biedni ci samolubi!

O stósunkach rodzinnych na teraz przemilczamy; później możeć je będziem mogli rozwinąć. O wychowaniu tylko nadmienimy, iż, jak na koszt powszechny odbywać się będzie, tak i w powszechnych, publicznych uczelniach, młódź płci obiéj kształcić się ma. Pielęgnowanie dziatek po odsadzeniu od piersi, w rodzinie odbywać się będzie aż do chwili, w któréj dziecię będzie mogło do wychowania publicznego należeć.

Pielęgnowanie dzieci nie będzie matkom do pracy przeszkadzać, jednak w czasach, w których mniéj zdolne lub nie zdolne (dla ciężarności np.) do pracy będą, koszta utrzymania ich poniesie ogół. Matka pielęgnująca dziecię, może pracować, lecz nietyle, nie tak dobrze jak mężczyzna; mimo to używalność własności spólnéj równą mieć ma jak pracujący mężczyzna. Tę zasadę zakłada sprawiedliwość i myślowe rozważenie stanowiska społecznego kobiet.

Lud jeden przyjąwszy urządzenie spólności, stawszy się wolnym, społecznie szczęśliwym, całą ludzkość za swoim pociągnie przykładem; cała ludzkość, wszech ludy, jednym staną się ludem, choćby różnemi mówiącym językami, i sprawdzi się wyrzeczenie: „*miłość ludu a ludzkości, jedném jest.*" Zbrodnie, samolubstwo, dążenia zmysłowe, jednostronność, wszelkie występki, wszelkie złe, ze społeczności wolnéj znikną, bo złe i wolność, to idee nie mogące koło siebie istnieć. A wolną będzie społeczność, w któréj miłość ludzkości w czynie spólności zakwitnie. Próżnoż faryzeusze wołać będą: zbrodnia! niemoral-

ność! rozbój! chcieć każdego wyzuć z własności, by lud uposażyć, by wszyscy mieli! ich wołania nieodtętnią w echach wieków, a *stan* (państwo, Staat, état) cnoty, wolności, spólności zabłyśnie niebiańską światłością. Łatwo innym zarzucać niemoralność i rozbój, marzenia i utopije, kiedy kto chytrą twarz maską układną dobroci zakryje i kłamie niecne oblicze w uśmiech cnoty, aby jako zmora nocna pierś braci pognębionych ssać pijetyzmu, fanatyzmu i ciemnoty żądłem! Łatwo rzucać na innych kamień, gdy kto się mieni Chrystusa uczniem, a na złocie się rozpiera!

VI.

Wolności! czyliż nad ciebie,
Może być jaki uroczy dźwięk!

Z ciągu pytań naszych, wypływa teraz główne, co spólność w żywocie ludów ma za owoc? co ona zradza; dalej, jaki tego owocu związek z twórczością, którą w żywocie ludów zamierzyliśmy rozważyć. Na pierwsze z pytań odpowiadamy z góry, na mocy już wysnutych wywodów, to, co już i pierwéj powiedzieliśmy, skutkiem, owocem *bezwzględnéj spólności* jest *bezwzględna wolność*, a ta jest jednoznaczną z *twórczością*; odpowiadamy daléj na wtóre pytanie. Dowiedźmy naszego założenia. Azaliż ono jednak potrzebuje dowodu, po tém, cośmy już powiedzieli? Cokolwiek bąć, choćby nudną i rozwlekłą jasnością i powtarzaniem prawd, może niezbyt w powszechności rozprzestrzenionych, nigdy nie zgrzeszymy. Wszak są to prawdy żywotne; ich dokładne poznanie, jeśli nie rodzi, to ułatwia postęp.

Wolność jest twórczością, twórczość jest wolnością. Nie są to nawet różne stopnie rozwinięcia jednego żywiołu, lecz wprost dwa zupełnie identyczne pojęcia. Weźmy np. człowieka pojedyńczego, ten wtenczas jest wolnym, gdy każdą wolę swą zgodną z miłością ludu wykonać może, lecz twórczość sam czyn tworzenia duchowego, jako objawu miłości ku ludowi, jest sam przez się zgodny z tąż miłością, jest nadto największą wolnością indywidualną, bo w tworzeniu istota indywidualna wylewa się na zewnątrz i z siebie tworzy, siebie jawi i postaciuje przedmiot; większego aktu wolności być nie może, bo w tym wszystkie inne są objęte. Podobnież jeszcze uważając rzecz całą indywidualnie, człowiek, aby mógł tworzyć, musi być wolnym, bo naprzód człowiek niesamodzielny nie może tworzyć, lecz tylko naśladuje; daléj, człowiek niemiłujący ludu, tworzyć nie może, bo nie ma co, (zob. pomysły do wiedzy umnictwa w Tyg. lit.), nakoniec człowiek krępowany nie może władać nad sobą, ani nad innemi żywiołami, a aby tworzyć, potrzeba i nad sobą i nad zewnętrznemi żywiołami mieć nieograniczoną potęgę, jak według pojęć hebrajskich Jehowa nad stworzonym przez się światem.

Uważając rzecz identyczności, wolności i twórczości *ludowo*, podobnież powiemy, lud, aby był twórczym, musi być samodzielnym. Twórczość więc w żywocie społecznym, jest wolnością w żywocie społecznym.

Wolność, twórczość, na bezwzględnéj opierają się spólności; ta jest miłością w czynie, miłością ku całéj ludzkości, ku ludowi; ta więc miłość istotą jest żywota społecznego ludów.

Stanowisko twórczości w filozofii jest przeto stanowiskiem wolności w żywocie społecznym. Filozofija wskazuje więc swojém dzisiejszém stanowiskiem, że ludy na drodze rozwijania się umniczego i filozoficznego dojdą do *spólności* bezwzględnéj, a przez to do wolności. Z resztą uchwycenie strony postępowéj, żywota społecznego i wszelkiéj dziedziny myślowéj, może dziś się tylko pod hasłem wolności stać, a to święte miłości i młodości ludów hasło, ten cel olbrzymi wszelkiego postępu, jest jednoznaczny z twórczością.

Edward Dembowski.

Doniesienie literackie.

Kopernik w Walhalli.

(Dalszy ciąg.)

Ów wyborny ówczesnéj astronomii pisany i ustny wykład Wojciecha Brudzewskiego, który ściągał z odwiedzinami do niego pierwszych uczonych z zagranicy, jak to wyczytaliśmy w podaniach własnoręcznych Jana Broscyusza, professora, astronoma akademii krakowskiéj w początkach siedmnastego wieku, obudziły w Koperniku pomysł, który na próżno kardynał Cusa ustnie w Purbachu, astronomie wiedeńskim, a przez pismo w jego uczniu Regiomontanie chciał obudzić, o takim samym obrocie ziemi około słońca, jaki około téj gwiazdy odprawiają inne planety. Z tym pomysłem, powziętym na drodze takiego usposobienia w Krakowie, wybrał się Mikołaj Kopernik r. 1495. do uniwersytetów italiańskich. Te w katedry języka greckiego, historyi i medycyny, lecz nie astronomii, były bogatsze od krakowskiego. Umarł Purbach w Wiedniu, kiedy na naukę języka greckiego wybierał się do Rzymu. Umarł w Rzymie Regiomontan, uczeń tamtego, wybrawszy się tam w tym samym zamiarze. Jak ci dwaj astronomowie chcieli się nauczyć greczyzny, tak nasz chciał się w niéj wydoskonalić pod niebem Italii; tamci, aby poznali

astronomiją Greków w samém źródle, ten aby z niego wyczerpnął poparcie wielkiego swego pomysłu. Padwa, która r. 1406. zaczęła należyć do Rzeczypospolitéj weneckiéj, nie miała w czasie, w którym Kopernik został jéj uniwersytetu uczniem, zapisawszy się do narodu polskiego, bo ta szkoła dzieliła się na narody; Padwa, mówię, nie miała równego Wojciechowi Brudzewskiemu, professora astronomii, a Kopernik też nie na tę umiejętność, którą już posiadał gruntownie, lecz na medycynę zapisał się w tym uniwersytecie. W historyi tegoż uniwersytetu, mającéj napis: *Historia Gymnasii Patavini, Venetiis* 1726. (folio) w tomie drugim, na stronicy 195., jéj autór Mikołaj Commenus Papadopoti następującemi słowy wyraża się o naszym Koperniku: „Że Mikołaj Kopernik w Padwie przykładał się do filozofii (perypatetyckiéj) i do medycyny, pokazuje się z księgi zapisowéj Polaków (*patet ex Polonorum albis*), według któréj był uczniem Mikołaja Passero i Mikołaja Vernia Teatyna. Ten ostatni, jak opiewają akta wydziału lekarskiego z r. 1499., włożył na jego głowę wieniec tych dwojga umiejętności."

Z Padwy robił Kopernik naukowe wycieczki do Bononii (Bologna), podówczas miasta weneckiego, pociągnięty sławą tamtejszego astronoma Dominika Maria Novarra, urodzonego w Ferrara r. 1464., zmarłego w Bononii r. 1514., we dwa lata po wcieleniu tego miasta do kraju papiezkiego. Winien on sławę swoję fałszywemu, przez Montucla w tomie I., na stronie 549. dzieła: *Histoire des Mathematiques*, bez żadnéj zasady zapisanemu mniemaniu: *d'avoir été le maitre de Copernic et l'avoir engagé par son exemple et ses conseils à se livrer à l'astronomie.* Takowa zasługa należy się wyłącznie, jak widzieliśmy, Wojciechowi z Brudzewa, z którego książki i młodzież italiańska uczyła się astronomii. Niedostawało, aby tęż młodzież i Kopernik nauczał téj umiejętności. Temu właśnie niedostatkowi zaradził godny Kopernika przyjaciel Dominik Maria Novarra, zaleciwszy go, przybyłego do Bononii z ukończonych r. 1499. w Padwie kursów, na professora katedry astronomii w uniwersytecie rzymskim, którą sam dawniéj zajmował.

Według historyi tego uniwersytetu, napisanéj przez Caraffa, p. t.: *Historia Gymnasii Romani*, chwała za jego ustalenie należy się papieżom: Eugeniuszowi IV., Mikołajowi V. i Aleksandrowi VI. Z tych ostatni siadał na stolicy apostolskiéj od roku 1492., do 1503. Za jego tedy papieztwa, przy schyłku r. 1499. otrzymał Kopernik katedrę astronomii w uniwersytecie rzymskim. Tak pisze Joachim Retyk, uczeń Kopernika i wydawca pism jego, tak Tiraboschi w swojéj *Storia della Letteratura Italiana*. Ale smutne wypadki rządów Aleksandra VI. zniewoliły naszego cnotliwego i bogobojnego astronoma opuścić Rzym i powrócić pod ojcowskie berło Jagiellonów.

W Krakowie, po roku 1502., w którym tu stanął z Rzymu, obrał Kopernik stan duchowny i tu wziął święcenia. Tu także, jak się okazuje z astronomicznych prac jego, napisał między spomnionym a 1509. rokiem swoje nieśmiertelne dzieło: *De revolutionibus orbium celestium.* Jeszcze żyjącego zastał on w Krakowie, przyjaciela zmarłych swych rodziców, Jakóba z Bygdoszczy Zarembę, który ich z potomstwem, podczas ich bytności w Krakowie, przyjął był r. 1469., jako prowincyał do tercyarstwa, to jest do uczestnictwa dobrodziejstw duchownych zakonu dominikańskiego prowincyi polskiéj, *Provinciae Polonae*, jak wiemy z pargaminowego oryginału, zaświadczającego to duchowne spowinowacenie rodziny Koperników z Dominikanami polskimi. Tego Zarembę r. 1502. wyniósł na sufraganią krakowską Jan Konarski, biskup krakowski, a w roku 1503. na imienne biskupstwo laodycejskie papież, Pius III. Są ślady, że z rąk Zaremby i Konarskiego wziął nasz Kopernik święcenia kapłańskie. Zastał nadto Kopernik w Krakowie potomków Marcina Bełzy, cnotliwego i majętnego obywatela tamtejszego, który, jak opiewają akta radzieckie tego miasta, żył w przyjaźni z ojcem jego. Zastał także w Krakowie rodzinę Kromerów, któréj imie już pod r. 1393. występuje w aktach tego miasta i któréj plemiennik, sławny Marcin Kromer, biskup warmijski, uczcił jego popioły nagrobkiem. Rodziny polskie Bełzów i Kromerów, kiedyś zażyłe z rodzicem astronoma naszego, żyją dotąd w swoich potomkach. Owo zgoła, Kraków był miejscem drogich dla Kopernika spomnień i jedyném polem, na którém, jako Polak, mógł był siać ziarno wielkich, wielką jego nauką posiłkowanych, pomysłów. Tu też osiąść na zawsze, jako professor przy szkole, któréj przed 13 lat był uczniem, życzył sobie; kiedy wuj jego, Łukasz Weisselrod, biskup warmijski, powołał go r. 1510. do Frauenburga na przeznaczoną dla niego kanoniją.

(Dokończenie nastąpi.)

Przy ukończeniu pierwszego półrocza roku szóstego Tygodnika literackiego, uprasza redakcya Sz. Prenumeratorów o wczesne złożenie przedpłaty na **drugie** półrocze, wynoszącéj złot. pol. 12, na najbliższych król. pocztamtach lub księgarniach. W przeciwnym razie jéj nie byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.

Przytém nadmienia redakcya, iż wszelkie korrespondencye, artykuły, listy i t. d., uprasza od 1. Lipca **nie** do **Poznania**, lecz do **Wrocławia**, **Junkerstraße** No. 3., gdzie się znajduje *bióro redakcyi*, adressować.

Redakcya Tygodnika.

A. Woykowski.

Redaktor: *A. Woykowski*. Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.